

Rozdział IV – Wioska Mistrzów

Po wyjściu z lasu, gdzie echo pieśni Koroludów wciąż brzmiało w ich sercach, Kora i Khor trafili do osady mistrzów — miejsca, które było jak żywe serce Wolmordu.

Osada rozciągała się na rozległej równinie, otoczonej górami, które lśniły runami widocznymi tylko w świetle księżyców. Z oddali wyglądała jak miasto utkane ze światła i dymu, a im bliżej podchodzili, tym wyraźniej czuli pulsującą w powietrzu magię.

Alchemicy pracowali w kamiennych warsztatach, gdzie powietrze pachniało siarką, ziołami i metalem. Ich kociołki bulgotały, a opary unosiły się w barwach zieleni i fioletu, tworząc fantastyczne kształty, które rozpływały się w powietrzu.

Magowie unosili się nad placem, ćwicząc zaklęcia, które rozświecwały niebo błyskami błękitu i złota. Każdy gest dłoni kreślił w powietrzu runy, które wirowały, zanim znikwały jak iskry.

Kowale wykuwali broń, której klingi śpiewały, gdy uderzały o kowadła. Echo ich pracy mieszało się z hukiem zaklęć, tworząc symfonię stali i magii.

Władcy run rzeźbili symbole w kamieniach, a każdy znak pulsował własnym światłem, jakby w ich dłoniach rodziły się nowe prawa rzeczywistości.

Mistrzowie portali otwierali przejścia, przez które można było zajrzeć do innych światów — czasem tylko na chwilę, zanim zamknęły się jak powieki. W tych krótkich momentach można było dostrzec obce nieba, oceany pełne dziwnych stworzeń, a nawet miasta, które nie istniały w tym świecie.

Było to miejsce, gdzie każdy oddech niósł moc, a każdy krok przypominał, że magia i rzemiosło są tu jednością.

Kora i Khor zatrzymali się na placu, chłonąc widok.

— „To... jest jak sen” — wyszeptała Kora, a jej oczy lśniły zachwytem.

— „Nie sen” — odparł Khor, zaciskając dłonie w pięści. — „To początek naszej drogi.”

Chwilę później rozdzielili się, każdy wybierając własną ścieżkę.

Kora postanowiła szkolić się w walce wręcz i w opanowaniu swoich towarzyszy. Jej serce płonęło pragnieniem, by ujarzmić stworzenie, które od dawna nawiedzało jej sny — Hydrę.

Khor udał się do Sanktuarium Magii, gdzie w ciszy i skupieniu miał wzmocnić swoje zdolności telepatyczne i siłę ki.

Kora dotarła do twierdzy, która wyglądała jak świątynia wyrzeźbiona z żywego kamienia. Jej mury oplatały pnącza, a w powietrzu unosił się zapach kadzideł i mokrej ziemi. Wysokie schody prowadziły ku wejściu, a każdy stopień zdawał się szeptać w języku, którego nie znała.

Na szczycie schodów czekała Mistrzynie Kamara — kapłanka stworzeń. Jej sylwetka była smukła, a oczy lśniły zielenią, jakby odbijały światło lasu. W dłoni trzymała laskę zakończoną kryształem, w którym wirowały obrazy zwierząt — od najmniejszych owadów po smoki.

Kamara uniosła laskę, a kryształ rozbłysnął.

— „Pragniesz ujarzmić Hydre?” — zapytała głosem, który brzmiał jak szelest liści, ale w tonie kryła się nuta ostrzeżenia.

Kora uniosła podbródek.

— „Tak. Od dawna widzę ją w snach. Wiem, że to moje przeznaczenie.”

Kamara uśmiechnęła się lekko, choć w jej spojrzeniu czaiła się powaga.

— „Hydra nie poddaje się nikomu. Jej głowy są jak lęki i gniewy, które kryją się w sercu. Jeśli chcesz spróbować, musisz najpierw zdobyć kroplę wody z dna oceanu. Tylko ona otworzy ci drogę.”

Kora poczuła, jak serce przyspiesza. To nie była tylko próba siły — to był test odwagi i wiary w siebie.

Kora udała się do Khora, który trenował w wiosce mistrzów. Zastała go w chwili, gdy siedział w kręgu run, a jego ciało otaczała aura błękitnej energii. Runy pulsowały, jakby oddychały razem z nim.

— „Bracie, potrzebuję cię.”

Khor otworzył oczy. W jego spojrzeniu widać było zmęczenie, ale i determinację.

— „Niechętnie opuszczam naukę...” — powiedział cicho, a jego głos drżał od wysiłku. Pot spływał mu po skroni, a dłonie wciąż drżały od mocy. — „Ale jeśli to ważne, pójdę z tobą.”

Kora uśmiechnęła się lekko, a w jej oczach błysnęła wdzięczność.

— „Razem, jak zawsze.”

Wspólnie, na grzbiecie Pegaza, wznieśli się w przestworza. Wiatr smagał ich twarze, a pod nimi rozciągały się równiny i lasy Wolmordu, mieniające się w blasku księżyców jak morze zieleni i srebra. Pegaz trzepotał skrzydłami, a każdy jego ruch rozcinał powietrze niczym ostrze.

Kora objęła grzywę stworzenia, czując, jak serce bije jej szybciej.

— „Czujesz to, bracie? Jakby cały świat patrzył na nas z góry.”

Khor uśmiechnął się krótko, choć w jego oczach tliła się powaga.

— „Nie patrzy. On nas sprawdza.”

W tej samej chwili niebo rozdarło się blaskiem. Przed nimi ukazała się postać otoczona światłem — miała twarz ludzką, ale nieziemską, a jej głos brzmiał jak echo anielskich chórów.

— „Prawda czeka w krypcie na bagnach, na północ od wioski mistrzów.”

Rodzeństwo spojrzało na siebie, a serca zabiły im szybciej.

— „Musicie odnaleźć urnę, na której spisana jest przepowiednia.”

Słowa zawisły w powietrzu jak pieczęć losu. Po chwili postać zniknęła, a niebo znów stało się ciemne i ciche.

Na brzegu oceanu powitał ich widok niezwykle. Plaża miała piasek w kolorze bladego różu, a fale rozbijały się o brzeg, niosąc ze sobą zapach soli i tajemnicy. Horyzont zdawał się drżeć, jakby woda kryła w sobie coś więcej niż tylko głębię. Khor spojrzał na siostrę.

— „Jakie jest moje zadanie?”

Kora odwróciła się ku niemu, a w jej oczach błyszczała determinacja.

— „Stwórz wokół mnie bańkę z tlenem i barierą ciśnieniową. Potem zepchnij mnie na samo dno.”

Khor skinął głową i uniósł dłonie. Aura błękitnej energii otoczyła Korę, tworząc przejrzystą sferę. Pot spływał mu po czole, a dłonie drżały od wysiłku.

— „Wytrzymam...” — wyszeptał, choć sam czuł, że siły go opuszczają.

Kora, widząc jego zmagania, sięgnęła po własną moc. W jej dłoniach pojawiły się dwa magiczne wachlarze, które rozbłysły błękitnym światłem. Jednym ruchem rozciąła wodę przed sobą i, niczym błyskawica, pomknęła w głąb oceanu.

Na samym dnie panowała cisza, którą zna tylko głębia.

Ciemność była gęsta, a jedynym światłem były kryształowe wyrastające z dna, jarzące się jak uspięne gwiazdy. Kora czuła, jak ciśnienie przygniata jej ciało, ale jej serce biło mocniej niż strach.

Wyciągnęła małą buteleczkę i zaczarowaną strzykawkę.

Przekłuła barierę i pobrała kroplę wody z samego dna. Kropla rozbłysła w szkle jak żywy klejnot, jakby zawierała w sobie echo pradawnych oceanów.

Telepatyczny szept połączył ich umysły.

— „Jeszcze chwila, siostró...” — wyszeptał Khor, mobilizując resztki sił.

Bańka uniosła Korę ku powierzchni, a fala wyrzuciła ją na brzeg. Leżała przez moment, dysząc ciężko, a piasek różowej plaży kleił się do jej skóry.

Khor podbiegł do niej, pomagając jej wstać.

— „Masz ją?”

Kora uniosła buteleczkę, w której błyszczała kropla wody.

— „Mam. I czuję, że to dopiero początek.”

Kora udała się do Mistrzynie Kamary. Kapłanka stworzeń, widząc kroplę, uśmiechnęła się z uznaniem.

— „Z wielką przyjemnością będę cię uczyła. Odpocznij, bo jutro czeka cię ciężki dzień.”

Kora poczuła, że właśnie otworzyła drzwi do nowego rozdziału swojego przeznaczenia.

W tym samym czasie, gdy Kora przygotowywała się do swego rytuału, Khor kończył trening ducha. Jego mistrzowie nauczyli go panować nad własnym gniewem, wsłuchiwać się w głos Pegaza i wyciszać umysł, aż stawał się jak spokojna tafla jeziora. Ale wiedział, że to dopiero początek.

Kolejnym krokiem była wyprawa na wulkan, gdzie mieszkał Zaklinacz Feniksa — strażnik ognia odrodzenia.

W połowie drogi na szczyt znajdowała się chata mistrza Fjiu. Była to budowla z czarnego kamienia, opleciona korzeniami, które przetrwały nawet w tym piekle. Dach pokrywały popioły, a z komina unosił się dym o zapachu siarki i ziół.

Przed chatą siedział starzec o twarzy pooranej zmarszczkami, które przypominały spękaną ziemię. Jego oczy jarzyły się jak dwa węgle, a dłonie drżały, gdy opierał się na lasce.

— „Przynieś mi dzban lawy, a otrzymasz trening” — powiedział głosem chrapliwym, jakby sam wulkan przemawiał przez niego. — „Pamiętaj, ujarzmić Feniksa może tylko czysta i dobra dusza.”

Khor skinął głową, nie odpowiadając słowem. Wiedział, że to próba, której nie można obejść.

Razem z Pegazem ruszył w górę. Wulkan ryczał ogniem, a powietrze drżało od gorąca.

Ziemia była spękana, a z każdej szczeliny buchała para.

Kamienie były tak rozgrzane, że stopiłyby żelazo, a niebo nad kraterem przybrało barwę krwi.

Pegaz stąpał ostrożnie, jego skrzydła drżały, a nozdrza parowały od gorąca.

— „Jeszcze kawałek, przyjacielu” — szepnął Khor, głaszcząc jego szyję.

Na moment zatrzymali się przy skalnym występie, gdzie lawa spływała jak rzeka światła. Khor usiadł obok Pegaza, a płomienie odbijały się w jego oczach. To była ich chwila „ogniska” — nie z drewna i iskier, lecz z samego serca ziemi.

— „Jeśli upadnę, Pegi... dokończysz tę drogę beze mnie” — wyszeptał. Pegaz zarżał cicho, jakby sprzeciwiał się tym słowom, a jego skrzydła otuliły chłopaka niczym płaszcz.

Gdy tylko próbował napęlić naczynie lawą, ziemia zadrżała. Z wnętrza skał wyłonił się skalny olbrzym — żywiołak ognia i ziemi.

Jego ciało było zbudowane z głazów, które spajały rozżarzone pęknięcia. Każdy ruch powodował, że z jego wnętrza sypały się iskry i płonące odłamki. Oczy miał jak dwa kraterowe ognie, a jego oddech był gorętszy niż sam wulkan.

— „Nie jesteś godzien!” — ryknął głosem, który był jak grzmot i trzask lawy.

Potwór uderzył pięścią w ziemię, a fala ognia rozlała się po zboczu. Khor runął na kamienie, czując, jak gorąco pali mu skórę.

Podniósł się, chwiejny, ale zdeterminowany.

— „Nie odejdę bez tej próby!” — krzyknął, a jego głos odbił się echem od ścian krateru.

Skupił się, a jego ciało otoczyła aura błękitnej energii. Ki pulsowała w jego dłoniach, aż powietrze wokół zadrżało.

Żywiołak zamachnął się ponownie, ale Khor uskoczył i uderzył w jego pierś falą energii. Głazy rozpadły się, a rozżarzone pęknięcia rozsypały się jak deszcz iskier.

Olbrzym zawył, a jego ciało rozpadło się na fragmenty, które spadły wprost do krateru.

Ale Khor wiedział, że to nie koniec. Żywiołak nie zginął — tylko wrócił do swego żywiołu.

Miał jednak czas. Szybko napełnił dzban lawą, której blask pulsował jak serce. Czuł, że każdy oddech w tym miejscu jest walką o życie, ale nie ustąpił.

Pegaz, choć zmęczony, uniósł go z powrotem w dół zbocza.

Mistrz Fjiu czekał przed chatą. Gdy zobaczył dzban, jego oczy rozbłysły.

— „Dobrze. Masz odwagę i siłę. Ale pamiętaj, Khorze — ujarzmić Feniksa może tylko ten, kto nie nosi w sercu cienia. Jutro rozpoczniemy twój trening.”

Khor skinął głową. Wiedział, że to dopiero początek... ale w głębi serca czuł, że płomień, który dziś rozpałił, nigdy już nie zgaśnie.